I ROK ZESZYT I

MŁODOŚĆ

Czasopismo akademickie
Założone w stuletnią rocznicę urodzin
Adama Mickiewicza

GRUDZIEŃ 1898

KRAKÓW – LWÓW

TREŚĆ:

MŁODOŚĆ

PRENUMERATA kwartalnie: w Krakowie 80 ct., na prowincyi 85 ct., za granicą 1 mk. 50 pf., 2 fr., 80 kop.

REDAKCYA: Kraków, Floryańska 34 — FILIA: Lwów, Skarbkowska 11

ADMINISTRACYA: Kraków Księgarnia K. Wojnara i Sp.

Od Redakcyi.

Programu naszego, znanego z prospektu, dziś występując z pierwszym numerem, powtarzać nie będziemy; pragniemy tylko przypomnieć główne dążności i cele „Młodości“.

„Młodość“, jako jedyne pismo młodzieży polskiej, ma obowiązek odzwierciedlać w sobie ruch młodzieży z pod zaborów i łączyć z krajem ojczystym ogniska młodzieży, studyującej za granicą.

Na wewnątrz zaś, przez bezstronne krytyczno-naukowe rozbieranie kwestyj młodzież zajmujących i przez umieszczanie głosów wszystkich partyj, starać się będzie łagodzić rozdział wśród niej istniejący. Redakcya zaś, stojąc na stanowisku zupełnie bezstronnem, powstrzyma się od zaznaczania przy każdym artykule, umieszczonym w „Młodości“, czy zgadza się z nim rzeczowo, czy nie.

Główne te nasze zadania wypełnić możemy tylko przy gorącem i stałem poparciu wszystkich akademików. Do kolegów z prowincyi i zagranicy udajemy się z prośbą o przysyłanie korespondencyi z życia młodzieży polskiej. Przez utworzenie filii redakcyjnej we Lwowie położyliśmy silniejszy fundament pod pismo nasze i prosimy kolegów ze wschodniej Galicyi, aby z wszelkiemi pytaniami i artykułami do niej się zwracali

Każdy akademik uważać się powinien za współpracownika naszego pisma, a słuszne rady i wskazówki uwględniać będziemy z wdzięcznością.

O Słowackim — i o nas.

Kto drugi tak bez świata oklasków
Zgodzi się iść?

***Słowacki* »*Testament*«.**

Poetą życia, poetą poezyi, a więc poetą młodości jest Słowacki. Nikt przed nim i nikt po nim nie wyczuł tak olbrzymio tej nieprzepartej siły odśrodkowej, tej żądzy nieskończoności, co jest hymnem i krasą prawdziwej młodości.

Nutą młodości tętni krew Kordyana, jakiś nieuchwytny czar młodzieńczy snuje za sobą melancholijna Lilla Weneda — wiosną życia wieje cała pieśń tego mocarza.

Młodą duszą ją wyśpiewał, a z ostatniem zarzewiem młodzieńczej energii umarło to serce, co tylko w górę bić umiało.

Nie lubi tłum takich śpiewaków. W łunie tego młodzieńczego ognia trupia szarota »zjadaczów chleba« wyziera na świat nikłej i mizerniej jeszcze niż zwykle. Nie dla nich pajęcza wiązanka rymów »W Szwajcaryi«, nie dla nich olśniewająca szata wierszowa »Grobu Agamemnona«. To nie ma wartości wymiennej.

Słowacki to d u c h, to jakiś wyolbrzymiały lot orli, co oczy olśniewa potęgą pędu w bezkreśne krainy, to absolutna negacya materyi — a... my? My...

Nas od najmłodszych lat uczyli ignorować ducha, bo to nie da ani chleba, ani karyery, a nasz cel to przecież i chleb i karyera. I pędzimy na złamanie karku po złoty kołnierz, a świat ducha majaczy nam się przed oczyma, jak się majaczą pędzącemu po *grand-prix* żokejowi zielone drzew korony i sina smuga nieba.

Nas już od dziecka uczono się starzeć skwapliwie i oto spytajcie teraz jakiego zgoła obiecującego młodzieńca, jak mu się podoba Słowacki, a dobrze, jeśli wam nie odpowie: »zaraz, tylko zajrzę do szematyzmu, w jakiej randze ten pan«.

Nie dla nich Słowacki: zostawmy szematyzmom, co jest z szematyzmów. Ale jest świat inny: świat tych, co dyszą konwulsyjnem pragnieniem światła, co piersiom tchu nie dają od potężnej prośby: ducha, ducha daj nam Panie! To jest świat życia i wiecznej młodości!

Dla nich Słowacki! Bo Słowackiego czuć może tylko młode serce, lub to, co młodem być umie. I ci tylko zrozumieją tę siedemdziesięcioletnią prawie komedyę urągowiska, jaką nasze społeczeństwo odgrywa na koszt największego artysty polskiego. Bo Słowacki był artystą każdą kroplą krwi, każdem ścięgnem nerwu, a u nas

do dziś dnia jeszcze artystę traktuje się prawie na równi z czeladnikiem tapicerskim.

U nas się ceni tylko utylitaryzm twórczy, a autor »Balladyny« producentem być nie umiał; jeżeli czuł, to czuł całą jaźnią, całą szarpaniną nerwów i mózgu, tworzył — to tworzył dla sztuki, tworzył, bo bez tego żyć nie mógł. Rozumie się, że taka dusza nie mogła być równa, nie mogła wchodzić w kompromisy z popytem stadno-społecznym i to go zgubiło. Gdy z oddalenia półwiekowego patrzy się na życie Słowackiego, to szereg jego dni wydaje nam się jakąś walką zranionego jastrzębia z bezduszną czeredą złośliwych dzieciaków. Słowacki krwawił swoją duszę w pościgu za ideałem — a »przyjaciele« szydzili z niego, z za płotu obrzucali go dotkliwemi krytykami. Słowacki kochał swój kraj jakąś mistyczną, żywiołową miłością — a kraj go nie rozumiał. Nie rozumiał, więc ignorował. A dusza artysty cierpiała coraz dotkliwiej i szamotała się bezsilnie: widowisko nabierało efektu. Publika nie żałowała podniety, uderzała w najczulszą strunę, strunę ambicyi, i upokarzano artystę systematycznem spychaniem go na pośledni plan. Poeci, dzisiaj zapomniani doszczętnie, doznawali większego uznania od autora »Anhellego« i »Ojca zadżumionych«. Na Słowackim sprawdziło się po raz bodaj tysiączny, że miernota i przeciętność nie znosi nikogo, co je głową przerasta. Temu pędowi nie oparły się nawet i szlachetniejsze jednostki, a nawet i ci, co wyżsi być powinni nad parcie tłumu. Słowackiemu nie oszczędzono i najświętszych uczuć — uczuć rodzinnych. A teraz urzędowe biografie starają się winę zwalić na Słowackiego i całe rozdziały poświęcają »nadmiernej wrażliwości« i »zbyt wygórowanej ambicyi« poety.

Wreszcie w sile wieku Słowacki umiera. Tęsknota, jakaś dziwnie świetlana tęsknota za krajem i piekiełko szyderstw, chłodu i ignorancyi złożyło go w grób. Jak on musiał tęsknić do tej jamy grobowej...

I oto zaczyna się akt drugi. Słowacki dostaje się w ręce naszych krytyków. »Naszych krytyków« — to także kawał dramatu, te dwa proste słowa. Kamień pomnikowy wystawi sobie ten, co kiedyś wykaże, jak w przestrzeni historycznej krytycy polscy systematycznie ogłupiali ogół swymi sądami i jak po dziś dzień zawzięcie ogłupiają.

Połowa nie zrozumiała Słowackiego i pisze banialuki, bo nic innego napisać nie umie, a druga połowa, jeśli i zrozumiała, to nie może mu oddać należytej czci, bo nie pozwalają »względy wyższe«. Względy wyższe, to polityka resp. partyjność.

Autor »Trzech psalmów« naturalnie razi metodę ustępstw politycznych, a Słowacki-artysta nie zmieszcza się w ramce krytyki »społecznej« pozytywistów — więc go trzeba usunąć. Estetyka znowu katedr uniwersyteckich nie może zachwycać się pięknem »Mazepy«, skoro pomimo wysiłku i całej erudycyi nie zdoła rozwiązać hamletowskiego: Wojewoda czy nie wojewoda? — bohaterem tragedyi. A może Amelia? Co wobec tego znaczy całe morze prawdziwej poezyi, kryształowy artyzm, kiedy nie wiemy: Wojewoda czy Amelia?

A ogół — co ma sądzić biedny czytający ogół? Nie ciekawe położenie. Czuje coprawda, że jest w tym poecie »jakaś siła fatalna«, ale cóż znaczy własne poczucie i »siła fatalna« wobec zapewnień krytyki urzędowej, iż niema co mówić o wartości utworu skoro... ani Amelia, ani wojewoda, a może nawet ani sam Mazepa. A przecież już w podręcznikach gimnazyalnych uczą nas arogancko obchodzić się ze Słowackim. — I podręcznik gimnazyalny, i krytyka patentowana, nie — to już oczywisty pewnik estetyczny. I po tem wszystkiem przyciśnijmy do muru takiego najzupełniej przeciętnego Galicyanina i wyciągnijmy z niego zdanie o Słowackim — co on będzie wiedział? A przecież — na żywy Bóg! Słowacki jest ten sam, co napisał »Balladynę« i »Lillę«, co napisał »Mazepę«, »W Szwajcaryi«, »Króla Ducha«, »Ojca zadżumionych«, ten sam co wysnuł wizyę »Anhellego«, wydzwonił marmurowe akordy »Agamemnona Grobu«. Ludzie! to on, ten, o którym czwarta część inteligentnego społeczeństwa polskiego prawie nic nie wie, a więcej niż połowa zna go dla konwenansu. Pra-miernoto — tyś zaprawdę silna! Ale twoja rola może w tej sztuce dobiega już do końca. Akt trzeci — to my! Na nas kolej, na młode pokolenie. Nareszcie my może rozpoczniemy dobę renesansu — a jeżeli rozpoczniemy, to pod sztandarem D u c h a, a na tym sztandarze jest wypisane krwią serdeczną i imię Słowackiego. Na nas ciąży obowiązek postawienia go przed oczy narodu w blasku potęgi, jaki odeń bije. Zedrzyjmy łachmany partyjności i ślepoty duchowej, co kryją promienną postać wieszcza-poety i niech wraz z tem na nowo obejmie nas panowanie ducha, miłości wszechludzkiej. Słowacki najsilniej grał muzykę młodości i ducha, Słowackiemu więc przedewszystkiem należy się wyraz wdzięczności. I wyraz ten nie może ograniczać się na jakimś odczycie lub choćby nawet na wystawieniu pomnika — nie! Obowiązkiem młodego pokolenia powinno się stać rozniecanie k u l t u dla Słowackiego, a stać się powinno dlatego, że w tym kulcie najsilniej się przebija symbol o d r o d z e n i a d u c h a, tego odrodzenia, co się powinno stać naszem hasłem, co nas powinno wyrwać

z tej przeklętej apatyi, dodać lotu. Tylko przez Bóg — trochę więcej energii; już nie ziemię z posad, ale siebie samych ruszmy z miejsca, bośmy przygnili do swojej skorupy, jak mięczaki. Niechże nam raz krew zatętni w żyłach, niech młotem o skronie odbija! Młodymi bądźmy, nic więcej. To wystarczy. Pamiętajmy, że Słowackiego zrodziła epoka bohaterów i że najlepiej go uczcimy, jeśli już nie bohaterstwem, to żądzą bohaterstwa. A my dziś mamy tylko żądzę starości.

Życia! życia!

Jeżeli mamy siać kult dla poety ducha, musimy najprzód sami skąpać się w Lecie, a potem dopiero do dzieła. Więc przedewszystkiem kończyć to, co już zaczęte -- sprowadzić do kraju to biedne serce, co całe życie tęskniło za krajem, sprowadzić bez hałasu, bez huku, bo On już przywykł »iść bez świata oklasków« — sprowadzić tu do Krakowa, a nie otworzą mu wrót Wawelu -- to na bary! na nasze młodzieńcze bary i w szczere pole! Choć tam — byle wśród swoich. Pamiętajmy, że tego pragnął przez całą tułaczkę. Nie żądać od dzisiejszego społeczeństwa składek na sprowadzenie zwłok, bo toby była jałmużna, niech na ten cel złożą się ci, co za łaskę to sobie poczytują, za zaszczyt, co nie mogą nie dać. Nad innymi dopiero pracować potrzeba. Tu nasze zadanie.

Renesans w imię Słowackiego ma swoją treść jasną: zwycięstwo postulatów humanitaryzmu i ducha nad popędami walki stronniczej. Bo walka stronnicza, (polityczna czy estetyczna to wszystko jedno), odsunęła Słowackiego od chwały i uznania, jak odwiecznie odsuwa wszystkie śmielsze jednostki w imię nietolerancyi buntu, choćby buntu o świata zbawienie. Ale nam młodym wiedzieć należy, że bunt czasem nawet świętym bywa, jak to »dzieło zniszczenia«, co równe jest »dziełu stworzenia«. Więc bez obawy w wir i bunt! bo burzyć będziemy tylko stęchłe odpadki oportunizmu, bo wyrębywać będziemy tylko szczeliny dla promieni idei: młodości i życia!

Niech ta idea rozpłomieni się, niech ogrzeje nietylko jednostki, ale całe masy, niech »zjadaczów chleba w aniołów przerobi« — a wtedy bramy Wawelu same na oścież się otworzą przed królem-pieśniarzem, a świat ducha złączy wszystkich w jedno wielkie bractwo.

Będzie to chwila, kiedy białe orły skrzydłami zaszumią.

Kraków, 25 listopada 1898 r.

Siedlecki.

Pobudka!...

Harf studźwięcznych, harf grających,
Stujęzycznych harf!...
Więcej tonów szalejących,
Więcej linii, barw!
Pieśni jeszcze! Jeszcze pieśni
W ciszy ludzkich gniazd,
Więcej słońca w życia cieśni,
Więcej, więcej gwiazd!...
Lotów orlich, myśli górnych —
W serca — więcej wrzeń! —
Mroki pierzchną z wyżyn chmurnych
I nadejdzie Dzień..

*

Tonów jeszcze echem brzmiących
Z snów błękitnych pól —
A nie będzie z harf jęczących
Płynąć wiecznie ból,
A pójdziemy śmielej w życie,
Goniąc mroków moc, —
— Witać słońce na błękicie
I rozpraszać Noc!

*

Kwiatów więcej w życia cieśni,
Więcej linii, barw —
Pieśni, pieśni, jeszcze pieśni
Z serc złocistych harf!...

W. Gozdawa Godlewski.

O PATRYOTYZMIE

(M. Egidy)

Słowo to, jak i wiele innych używane jest dzisiaj często w złem znaczeniu. Niektóre koła przejmują pewne wyrażenia jako coś, co je wśród innych wyróżnia; ale właśnie ci ludzie nie mają poczucia patryotyzmu.

Jedni opierają przekonanie o swoim patryotyzmie na lekceważeniu innych narodów i nadmiernem wynoszeniu swojego. Zbliżeni do nich są ci

patryoci, którzy opierając się na swojej sile i większości liczebnej, przypisują nieraz przesadzone znaczenie wrażeniom, zwyczajom, językowi, wierze, tradycyi narodowości, stanowiącej w danem państwie większość, którzy jednak brutalnie uciskają te same właściwości u tak zwanych mniejszości. To im jednak nie przeszkadza domagać się dla ludzi ich narodowości, języka czy wiary, którzy żyją wśród innego narodu, jak najszerszego uwzględnienia ich indywidualności. To co nazywają w swoim kraju patryotyzmem, uważają u innych za zgwałcenie i skrzywdzenie swojej narodowości.

Drudzy identyfikują pojęcie ojczyzny z pojęciem siły zbrojnej; uważają się za tem lepszych patryotów, im chętniej dostarczają wszystkich żądanych i nieżądanych środków do wzmocnienia tej siły zbrojnej; patryotyzm doprowadza ich do tego, że tylko to, co się łączy z bronią, uważają za godne człowieka i ich współrodaka. Dla nich to, co służy wojnie i przygotowaniom do niej, jest jedyną prawdziwą religią patryoty. Ponieważ nie mają świadomości o tem, że świat cywilizowany wszedł obecnie w epokę pokoju, zarzucają brak patryotyzmu każdemu, kto — w świadomości tego nieodczutego jeszcze ogólnie, ale rzeczywiście dokonanego przełomu — uważa wojnę za zjawisko, należące do przeszłości, i kto ma odwagę z tego faktu wyciągnąć odpowiednie wnioski.

Inni znowu łączą pojęcie ojczyzny z pojęciem rządu, widzą ideał ojczyzny urzeczywistniony w jakimś chwilowym rządzie lub w pewnej stałej formie rządowej. Oceniają swój patryotyzm i patryotyzm drugich po gotowości poddania się zapatrywaniom i rozporządzeniom tego rządu. Osobny rodzaj tych patryotów stanowią narody, które mają monarchów na swojem czele: są to tak zwani „dynastyczni" patryoci. Pod tymi patryotami rządowymi czy dynastycznymi nie trzeba rozumieć ludzi, którzy żywią naturalną i silną miłość wolnego człowieka dla „pierwszych" czy „pierwszego" między równymi, ale tych, którzy oddają własną wolę do rozporządzenia temu rządowi czy monarsze i bezwarunkowo zrzekają się własnego „ja" na ich korzyść. Im bardziej stają się z obywateli poddanymi, tem bardziej czują się „lojalnymi". Zadawalniają siebie i swój patryotyzm uczciwie odczutą, ale fałszywie pojętą miłością dla rządu lub monarchy; niektórzy gubią się w niegodnem ubóstwianiu jednego człowieka, krzywdząc brakiem miłości — świadomie czy nieświadomie — całe społeczeństwo.

I to uchodzi za patryotyzm, jeżeli się ktoś zamyka wyniośle lub tajemniczo przed innymi narodami i znosi się tylko ze swoim. Idee i usiłowania, dążące do zbratania i ściślejszego zespolenia narodów, które przejęli dzisiaj ci prawdziwie wykształceni i prawdziwie uobyczajeni cywilizowanego świata, wydają się im potwornością. Z wyrażeniem „międzynarodowy" łączą pojęcie zdrady i braku patryotyzmu; tylko monarchom

przebaczają znoszenie się i obcowanie z koronowanemi głowami. Zresztą to samo w swojej sferze i u sobie równych stanowczo potępiają.

Te spaczenia idei patryotyzmu będą istniały póty, póki nie znajdziemy harmonijnej równowagi między wszystkiemi słusznemi żądaniami, wypływającemi z praw indywidualizmu, a wszystkiemi słusznemi żądaniami, wypływającemi z potrzeby i świadomości łączenia się. Brakuje nam jeszcze uwzględnienia i sprawiedliwości tak dla jednego jak dla drugiego. Brakuje nam tego zarówno w obcowaniu z naszymi współplemieńcami, jak w stosunku jednego narodu do drugiego. To zrozumienie, ta gotowość i zdolność do społecznej sprawiedliwości wtedy dopiero będzie cechowała człowieka cywilizowanego, kiedy zakorzeni się w jego umyśle pojęcie równości, uznanej nie wewnątrz pewnych oznaczonych stanów, klas, czy rang, ale w całych narodach. Wszyscy wiemy, że taki przełom pojęć nie odbędzie się z jednego dnia na drugi; tak samo jednak jest rzeczą niewątpliwą, że odbędzie się on prędzej, niż to wielu ludziom się wydaje. Komu nie wystarcza sama radość z takiego wzniesienia się społecznej obyczajności, ten powinien zrozumieć, co za ogromne skutki będzie miało rozszerzone i zrozumiane pojęcie równości. Już dzisiaj musimy poddawać nasze myśli pod wpływ tego pojęcia. Myśl o równości jest punktem wyjścia w oryentowaniu się co do budowy przyszłych społeczeństw. W ten sposób dochodzimy do zupełnego uznania indywidualności pojedynczych ludzi i pojedynczych narodów a zarazem do wzniosłego zrozumienia społecznego łączenia się jednostek i narodów.

Dla patryotyzmu szuka się także często silnych określeń. Dosyć smutno, jeżeli takich określeń potrzeba. Gdyby się zrozumiało istotę patryotyzmu, krzyczące reklamowanie tego, jak zresztą każdego innego szlachetnego uczucia, byłoby niepotrzebne. „Ognisty“ patryotyzm nie zda się na nic, jeżeli się go nie oczyści z brudnych domieszek. Prawdziwie uczciwy i zdrowy patryotyzm składa się z dwóch pierwiastków: z miłości do współrodaków i z przywiązania do ziemi, do ojczyzny. Pojęcie „ojczyzna“ będzie unosiło się w powietrzu, będzie pustem widmem, jeżeli go nie przedstawimy plastycznie. Podstawą tego pojęcia jest człowiek, współrodak, którego kochamy; to, co związuje ze sobą umysły, to tkanina ich wyobraźni, która nabiera sił z tego kawałka ziemi, która nas wychowała i z którą zespalają nas tajemnicze węzły. Nasze sny i nasza poezya, nasza tęsknota i nasze natchnienie stosują się do tego poważnego, często melancholią okrytego uczucia, ale nasze obowiązki — energia naszego patryotyzmu — należą się „człowiekowi“, należą się tym, od których mamy prawo żądać, a zatem i dawać, współrodakom. Ale bez wyjątku, bez względu na osoby.

Pojęcie narodu można uprzytomnić przedmiotem: nasze obowiązki należą się każdej jednostce i wszystkim jednostkom w narodzie. Świado-

mość o tych obowiązkach jest albo oddaniem czystej, bezinteresownej miłości współrodaka dla współrodaka, albo prowadzi do niej. Potwierdzenie czynem takiej miłości jest patryotyzmem. Patryota uważa za równych wszystkich w narodzie — nawet nędzarzy, nawet monarchów; patryota uważa się za równego wszystkim w narodzie — nawet monarchom i nędzarzom. Patryota myśli bez żadnego ograniczenia swoją miłością i troskami, swojem poczuciem obowiązku i dążeniem do uszlachetnienia, o każdym w narodzie — o najwyżej położonym i o wyrobniku. Myśli o wszystkich i o każdym z osobna, kiedy występuje z oburzeniem przeciw nieszczęściom, złemu i niedoskonałościom teraźniejszości; myśli o wszystkich i o każdym z osobna, kiedy domaga się uszlachetnienia jednostki przez polepszenie stosunków i polepszenia stosunków przez uszlachetnienie jednostek. Taka walka o własny naród nie czyni go nieczułym na stosunki innych narodów. Patryota „kocha“, a kto kocha, ten kocha w ogóle; tego bolą krzywdy i błędy, pod któremi jęczą ludzie w innych krajach. Patryota odczuwa wrażliwie niesprawiedliwość; kto występuje przeciw pogwałceniom świętych praw człowieka we własnym kraju, tego oburzają bezprawia u innych narodów.

Patryota widzi przełom teraźniejszości na wszystkich polach społecznego życia; w tej świadomości może on działać, jeżeli wierzy w rozwój ludzkości ku lepszemu. Ta wiara wyklucza myśl o wojnie, która przejmuje jeszcze dzisiaj świat cywilizowany. Patryota nie wzdryga się małodusznie przed pobojowiskami i krwawemi obrazami przeszłości, ale jest pewien epoki pokoju i wyciąga z tego stanowcze wnioski.

Dziś błąka się jeszcze po świecie za wiele nazwisk i pojęć przejętych z przeszłości, która nie znała pokoju, i za wiele zjawisk, które nam przyniosła teraźniejszość, oparta na gruncie rewolucyjnym. Lud, państwo, ojczyzna — każde słowo ma odmienne znaczenie; pojęcia stoją niezrozumiane i wrogie naprzeciw lub obok siebie. Wtedy dopiero nastąpi przejrzystość i zgoda, kiedy wszystkie pojęcia zleją się w naszym umyśle w trosce i miłości dla „człowieka“. Jakie dajemy określenie ukształtowaniu się przyszłości, jest rzeczą obojętną. Patryota uczyni zadość swemu patryotyzmowi — i sobie samemu — dbając o dobro tych, którzy stanowią składową część tak ludu, jak państwa i ojczyzny: ludzi.

BAJKA.

Memu przyjacielowi Leonowi W.

Bajką jest życie. — W półsenną godzinę,
Gdy zmrok zapada i światy szarzeją
I ciszy wielkiej słodka pieśń wieczorna
Osnuwa przędzą marzeń pola sine,
Wieczność ją matka zcicha opowiada,
Tę bajkę dziwną, melodyjnie śpiewną:
Tyś królewiczem, twe szczęście królewną...
A gdy zasłuchasz się w tej bajki słowa,
Jak rozkosz słodkie, a jak śmierć tajemne,
Roisz, że na twej piersi gorejącej
Złota odpocznie twej królewny głowa...
Więc w srebrnosennej bajki tej uścisku
Śnij, serce, śnij!...

Tylko — bywają smutne bajki czasem,
Co, kiedy zcicha wznoszą oczy łzawe,
Zda się, że nocą dusze zmarłych płaczą
Lub wiatru pieśń jesiennym idzie lasem. —
I, choć to bajka, żal za serce chwyta,
Że próżno tęsknim za królewną białą,
Że tak bez celu ta nasza tęsknota
I że w tej bajce słońca jest tak mało...
Lecz — wszak to bajka. — Niech do snu kołysze!
Ah... pocóż dumać tak smętnie nad końcem
I za królewną tęskne słać pogonie —
Na srebrnosennej bajki miękkiem łonie
Śnij, serce, śnij!...

F. Eisenberg.

Po ankiecie szkolnej.

(Kilka myśli abituryenta).

Złożyło się, że „Młodość« powstaje w chwili, kiedy u niektórych ludzi nie przebrzmiały jeszcze echa z ostatniej ankiety szkolnej. Powiadamy »u niektórych«, a nie »u wszystkich«, bo nie myślimy się łudzić. Ludzie, dla których myśl jest ciężarem, spełnili już i tak heroiczny obowiązek, przeczytawszy kilka sprawozdań z obrad ankiety. Dla rodziców, którzy za zasługę wobec potomności będą sobie poczytywali, że swemu synowi pod błogosławieństwem zakazywali brać udział w czemkolwiek, co nie wchodziło w zakres

najkonieczniejszych funkcyj fizyologicznych i przygotowywania się do egzaminów, którzy u swego dwudziestoletniego jedynaka każdy blady odbłysk tego, co nazywamy myślą, witają rozpaczliwym okrzykiem: »Młodzież dziś za wcześnie zaczyna krytykować!«; dla pedagoga, którego jedynem marzeniem do niedawna było podwyższenie płac, a dziś są korzystne lekcye, którego uczuciem zasłużonej dumy napawa widok pięćdziesięciu spokojnych, półmartwych, zgarbionych nad książkami i wpatrzonych z przerażeniem w jego twarz chłopaków; dla obywateli, którzy w stanie wyjątkowym chcą wychowywać całe pokolenie na przyszłą chlubę społeczeństwa; dla tych wszystkich ludzi ta ankieta była niezdrowym snem, w którym przesunęło się przed ich oczyma widmo wynędzniałej, chorej fizycznie i duchowo młodzieży, pytając: »Coście z nami zrobili?« Takie sny przeszkadzają trawieniu. O takich snach powinno się zapominać jak najprędzej.

I dlatego my, przerywając im jeszcze raz ich słodką drzemkę i zabierając głos po tych wszystkich profesorach, dyrektorach i inspektorach, po tych wszystkieh ludziach mniej lub więcej interesowanych i z mniej lub więcej dobrą wolą, wiemy, na co się narażamy. Tym ludziom z ankiety nietrudno było przemawiać: za nimi stał ogół, który ich uprawnił do głosu. Za nami nie stoi nikt i na nikogo nie możemy liczyć. Ani na starych, którzy nam będą wytykali, że nas nikt o zdanie nie pytał, że oni nam głosu nie dali i dać nie chcą, że młodzież powinna uczyć się, a nie myśleć; ani na młodych, których zrobiono tem, czem ich zrobić chciano, bo puszczono ich w świat z wbitą w mózg zasadą, że od lat dziesięciu do ośmnastu będą płaszczyli się i zginali pod obuchem profesora gimnazyalnego, od ośmnastu do dwudziestu pięciu pod obuchem profesora uniwersytetu, od dwudziestu pięciu do śmierci pod obuchem radcy lub nadradcy rachunkowego i pójdą w nieskończoność z przeświadczeniem, że spełnili tutaj swój obowiązek, bo przez całe życie kurczyli się i nikli i zaledwie śmieli myśleć myślami swoich przełożonych i oddychać powietrzem, którem oni oddychali. Ta młodzież wie dobrze, że kto chce wołać o sanacyę istniejących stosunków, będzie przez całe życie szarpał się i męczył i musi mieć w sobie żelazne zasoby, ażeby się nie dał złamać. Ta młodzież tych zasobów w sobie nie ma i dlatego przy nas się nie opowie, chociażby w głębi czuła, że mamy słuszność. Ale jeżeli są jeszcze jednostki, dla których pracować warto, to będziemy dla nich pracowali. I pomimo, że nam nikt głosu nie daje, pomimo perspektywy długiego szarpania się i męczenia, my ten głos bierzemy siłą, bo w tej kwestyi, którą zajmowała się ankieta, nikt

nie ma do niego większego od nas prawa. Według ludzi, którzy układali kwestyonarz dla ankiety, na pytanie: »Jakie braki uczuwa abituryent w chwili skończenia szkoły średniej?« mogli odpowiadać abituryenci z przed lat pięćdziesięciu, profesorowie, dyrektorowie, inspektorowie, lekarze, dziennikarze, przedstawiciele »Związku rodzicielskiego«, hrabiowie, książęta, wszyscy, tylko nie młodzież. Trzeba zatem korzystać z tego, że znalazło się pismo, w którem młodzież może przemówić. Trzeba korzystać tem prędzej, że nie braknie zapewne ludzi dobrej woli, którzy temu pismu będą podkopywali grunt pod nogami. Z góry wiemy, że głos nasz mało komu będzie przyjemny. Nam nie wolno nikogo oszczędzać i bawić się w oportunizm, bo stan jest za smutny. Gdyby można było, pisałoby się krwią.

Dziwna rzecz. Powołano do ankiety tylu starych ludzi, którym nic nie można było zarzucić prócz tego, że prawdopodobnie żaden z nich nie rozumie młodzieży. Nie powołano ani jednego młodego człowieka, ani jednego z tych ludzi, którzy niedawno wstąpili w mury szkolne z silną ideą, ażeby być nietylko stróżami, ale przyjaciółmi młodzieży, którzy nie mieli jeszcze czasu skostnieć w szablonie szkolnym i których ten szablon dusi tak, jak nas dusił. Wielu z nich miałoby usta rozwiązane, bo ośmielali się mówić lub pisać o reformie szkół średnich i mają już karyerę zwichniętą. Ci ludzie powiedzieliby niejedną rzecz nową. Powiedzieliby człowiekowi, który mówi, iż »chciałby widzieć takiego człowieka, któryby po maturze czuł jakieś braki wogóle, chyba pieniędzy«, że są między nami tacy, którzy opuszczając szkołę średnią, czują coś więcej. Czujemy w sobie straszne rzeczy. Czujemy próżnię wszystkiego. Chciano wytępić w nas radykalnie zakorzeniony idealizm naszych ojców i nie uwzględniono jednej straszliwej właściwości młodych: skrajności, która ich pcha z jednej ostateczności w drugą. Odzierając nas z innych ideałów, zapomniano, że jedyny, który nam chciano pozostawić, ideał żmudnej, mrówczej pracy, dla młodego ideałem być nie może. Te dziecinne ideały, z któremi wchodziliśmy do szkoły średniej, wynosimy dzisiaj spłowiałe, wytarte i zmięte. Bano się, ażebyśmy nie wyrośli na szaleńców. Chciano z nas zrobić przeciętnych ludzi: zrobiono karłów. Jeden z członków ankiety mówił, że »dzisiejsza szkoła średnia daje młodzieży zapasy idealizmu«. My na ten idealizm patrzyliśmy przez ośm lat i wiemy, jak się go pielęgnuje. Ideał profesora przez brak miłości, szacunku i wiary w ucznia. Ideał nauki szkolnej przez zagważdżanie umysłu ucznia ślepemi formułami. Ideał patryotyzmu przez głoszenie z katedr zasad trójlojalistycznych. Ideał miłości

bliźniego przez propagowanie w szkołach antysemityzmu. Ideał koleżeńskiego zaufania przez utrzymywanie klasowych szpiegów. Ideał bezstronności przez dawanie uczniowi do rąk takich książek, jak wypisy polskie dla klas wyższych. Ideał ideału przez oblewanie zimną wodą każdego porywu, przez powtarzanie dziecku co chwila: »To mrzonki, wyleczysz się z tego«. Ot, nasze ideały! Temi ideałami osiągnięto cel: nikt nam zarzucić nie może, że porywamy się z motyką na słońce. Za to jeden z członków ankiety, starzec stojący nad grobem, który bardzo kocha młodzież i któremu tylko wielki ból wydarł te słowa z ust, zarzucił dzisiejszej młodzieży rzecz daleko spokojniejszą, daleko praktyczniejszą, daleko mniej drażniącą nerwy: serwilizm.

Ten sam pedagog, który kruszył kopie w obronie idealizmu dzisiejszej szkoły średniej, dodał: »My w gimnazyach chcemy młodzież trzymać zdala od świata i jego zmateryalizowania«. Druga część tego zdania jest błędna; przed zmateryalizowaniem dzisiejsza szkoła średnia młodzieży nie chroni. Co do pierwszej części, pedagog zawarł w niej ogromną prawdę, której zapewne sam się nie domyślał. Szkoła średnia trzyma młodzież zdala od świata, a raczej nie przygotowuje jej do niego. Przez ośm lat trzyma chłopaka na żelaznej uwięzi i zmusza go, ażeby pod jej naciskiem ugiął się i był jej posłuszny. Potem wyprowadza go na próg świata, nie dając mu ani silnego charakteru, bo o charakter ucznia szkoła średnia w ogóle nie dba, ani wiedzy, którąby odpowiadała pojęciom nowoczesnym, ani krytycznego, zdolnego do samodzielności umysłu. Od tego, co przyszłość przyniesie, szkoła średnia umywa sobie ręce. Odium z czynów tego przyszłego człowieka bezpośrednio na nią spadać nie będzie. Będzie nawet mogła z dumą powiedzieć: »Świat go zepsuł. U mnie przez ośm lat był spokojny«. To też tysiące młodych ludzi, którzy opuszczając szkołę średnią pierwszy raz widzą, że na tłómaczeniu autorów starożytnych po dwadzieścia wierszy na godzinę zmarnowano im ośm przepysznych lat życia, ogarnia lęk i, dziwna rzecz, tęsknota za szkołą. Jeden młody akademik mówił nam: »Prawda, tam atmosfera była bardzo duszna i niezdrowa, ale tam przynajmniej nie trzeba było myśleć!«

Ogólnie biorąc, dzisiaj z tej formalistycznej, szablonowej atmosfery szkoły średniej wychodzą inteligencye płaskie lub chorobliwe. Płaskie u tych, którzy zdali się zupełnie na łaskę szkoły, którzy byli uczniami pilnymi i o samokształceniu się myśleć nie mogli, bo dla pięciu godzin zmarnowanych lub prawie zmarnowanych w szkole marnowali przynajmniej drugich pięć w domu. Tym ludziom szkoła zabiła umysły, dając im pewien zasób książkowej erudycyi, ale ani

jednej myśli. Ci ludzie przejdą przez życie, nie zwracając uwagi na ogrom myśli ludzkiej, którego nie będą mogli objąć, zaleją biura i urzędy, będą elementem biernym, o tyle szkodliwym, że będą zawadzali drugim. Inna rzecz z inteligencyami chorobliwemi. Ten typ znamy dobrze. W pierwszej klasie był to bystry, świetny uczeń, z żywemi i rozumnemi oczami. Kiedy niekiedy wstawał, ażeby profesora o coś zapytać. Pytanie swoje zawsze zaczynał od «czemu?« Nie wiedział wtedy, że to »czemu« będzie prześladowało go całe życie i że często nikt nie znajdzie mu odpowiedzi. Ale na te pytania z pierwszej klasy, które go dręczyły tak, jak ludzi starych dręczą inne, odpowiedź jeszcze była. Na nieszczęście, profesor, do którego się zwracał, z jednej strony nie miał na odpowiedź czasu, bo musiał »wyczerpywać materyał«, z drugiej był zdania, że młodzież dziś zawcześnie zaczyna filozofować, analizować i krytykować. Sądził, że dziecku można powiedzieć: nie myśl, aby nie myślało, i że to dziecko będzie czekało, aż ktoś mu powie: od dzisiaj wolno ci myśleć. Zresztą, jego obowiązkiem było słuchać bębniących na pamięć malców, a nie dochodzić, co tam się już gnieździ w tych małych głowach. Chłopakowi raz i drugi odpowiedział: »Nie mam czasu«, albo »to do ciebie nie należy«. Za takie samo pytanie, katecheta ochrzcił go mianem »niespokojnego żywiołu«, »rewolucyjnego ducha« i t. d. Chłopak przestał się pytać drugich, za to starał się sam znaleść odpowiedź. W naukach się zaniedbał, zaczął masami czytać, bez związku i wyboru, z gorączkowym pośpiechem.

Co się z niego wytworzyło? Człowiek chory. Chory, nie dlatego, że zawcześnie zaczął myśleć, ale że zawcześnie zaczął sam myśleć! Od dzieciństwa czuł naokoło siebie próżnię, próżnię nie ludzi, ale umysłu, któryby z nim razem pracował. Wszystko, co sam sobie zechce zbudować, musi być słabe. Ile razy spotka się z umysłem, nieco silniejszym od niego, będzie mu bez oporu ulegał, bo nie potrafi chociażby nawet względnie silnym pojęciom i wierzeniom przeciwstawić własnych równie silnych. Jeden po drugim będzie mu wciskał w głowę swoje myśli, będzie mu burzył wszystko, nad czem on całe lata pracował. Z tego wytwarzają się te subtelne i wyrafinowane, ale przeczulone, chorobliwe, pozbawione wszelkiej twórczości inteligencye, których jest masami między naszą dzisiejszą młodzieżą. Szkoła nie dała im jednej rzeczy, którą im przez ośm lat mogła i powinna była dać: organizacyi umysłowej.

Poruszyliśmy dwie główne wady dzisiejszej szkoły średniej: brak idealizmu i brak indywidualizowania uczniów. W szczegóły,

między któremi są niektóre bardzo smutne, na razie wchodzić nie będziemy. Otwieramy w naszem piśmie stałą rubrykę, w której będziemy uwzględniali życie naszej młodzieży szkolnej. Nie cofniemy się przed kwestyami najbardziej rozpaczliwemi. Są między niemi takie, o których społeczeństwo nie wie, i takie, o których wiedzieć nie chce. Naszym obowiązkiem będzie i na jedne i na drugie zwracać jego uwagę.

W. R.

„Zaśnięci".

I.

Jest góra Wielkich Czynów... a w niej grota,
Gdzie nie zajrzało nigdy światło dzienne,
Ni blaski wschodów słonecznych promienne,
Ni zachodzących słońc otęcza złota...

Stoi zaklęta w ciszę... a w tej grocie
Odwiecznym dumem siadły mroki senne,
To się rozpięły przędzą wisze ścienne:
Mchy i powoje i skalne paprocie...

W ciemni, od świata oddzielone skałą,
Skąd jeszcze nigdy życie nie zajrzało,
Nie wpadło echem w uroczysko święte —

Zaklęte wojsko śpi... Kamiennie stoi,
Nieruchomie, w spleśniałej czarnej zbroi,
Skałą wrosłe w podziemny grób — zaśnięte...

II.

Po stalaktytach, co soplami wiszą,
Płyną kroplami łez lodowych ścieki
I, jak podziemne, zapomniane rzeki
Bruzdami lata na kamieniach piszą...

Spokój... Tam w górze gwar życia daleki —
Tu skały martwe nie czują, nie słyszą;
Śpią nieprzespanym snem, owiane ciszą,
Śpią — lata całe, dziesiątki i wieki...

Przyjdzie czas... Grzmoty do jaskini wpadną —
„Już czas!“ — zawoła echo, i rycerze
Zbudzeni wielkim poruszą się lasem,..

Lecz biada temu, kto dziś spojrzy na dno
Zaklętej groty — i w przeświętej wierze
Już czas!“ — zawoła i zbudzi przed czasem!

Władysław Orkan.

Przedmiot dynamiki społecznej.

Poznać życie społeczne można tylko w kolejnych jego odmianach, jakie w nim się odbywają od pierwszych jego przejawów. Stanowisko więc statyczne byłoby w tym wypadku niekorzystne, a więc i niewłaściwe. Najodpowiedniejszem, niemal jedynie możliwem, jest stanowisko dynamiczne. Z tego powodu niektórzy socyologowie uważają, że podział na statykę i dynamikę jest zbyteczny i niepotrzebny. Atoli przy tym podziale kierujemy się nie tyle punktem widzenia kinematycznego, ile uczuciem korzyści z podziału biologii na anatomię i fizyologię.

Dynamika społeczna bada życie i rozwój organizmów społecznych. Życie i rozwój tak ściśle są z sobą zespolone, że niemal się utożsamiają dla naszego umysłu. Mając to na uwadze, przy podziale dynamiki będziemy uwzględniali li tylko sam rozwój społeczny. Littré rozróżnia dwa kierunki rozwoju, z których jeden dąży do zachowania organizmu, drugi wytwarza postęp, — i z tego powodu dzieli on socyodynamię — tak nazywa dynamikę społeczną —- na socyjergię i socyjanksyę. Rozróżnienie jednak tych kierunków przedstawia wielką trudność i jest niemal równoznaczne z odgraniczeniem życia od rozwoju.

Rozwój społeczny przedstawia się nam jako rozwój, odbywający się w samej budowie ustrojów społecznych oraz w rozmaitych ich organizmach, obejmowanych pod ogólną nazwę życia społecznego. Mamy tu na oku rozwój każdego typu organicznego z osobna. Jeżeli jednak obejmiemy wzrokiem wszystkie organizmy i te, które istnieją, i te, których postać z pewnych pozostałych śladów odtwarzamy sobie, to widzimy w łańcuchu wieków odbywające się szczeblowanie, podobne do tego, jakie roztacza przed nami historya rozwoju organizmów osobnikowych, poczynając od monery a kończąc na człowieku. Szczeblowanie to jest jeszcze widoczniejsze w historyi organizmów społecznych, którą rosnuwa historya rodzaju ludzkiego, historya ludzkości. Szczeblowanie to, odbywające się początkowo nieświadomie i w długich okresach czasu, staje się coraz

bardziej samowiednem i coraz bardziej przyspieszonem. Rozwój, wyłaniający się z walki o byt, staje się postępem, opierającym się na wiedzy.

Na podstawie tego, co powiedziałem wyżej, można dynamikę społeczną podzielić na dwie części: jedna bada rozwój organizmów społecznych w ich całości i częściach składowych; druga, ogarniając całą ludzkość w organiczną całość, przedstawia najwyższe uogólnienie historycznego rozwoju, historyozofią. I dla tego nie mogę się zgodzić z Gumplowiczem, który nie uznaje racyi bytu tej drugiej części dynamiki społecznej i widzi w niej tylko pozostałość filozofii metafizycznej.

Która z tych dwóch części w wykładzie socyologii ma poprzedzać? Odpowiedź — podług mego zdania — jest nader trudna. Co do mnie, to z początku mniemałem, że ogólny pogląd na rozwój ludzki powinien poprzedzić bardziej szczegółowe rozejrzenie się w życiu i rozwoju organizmów społecznych, ale napotykając liczne trudności, nabrałem tego przekonania, że korzystniej jest, poznawszy w statyce budowę społeczeństw, zająć się poprzednio badaniem rozwoju onych, a następnie przejść do ogólnego na rozwój ludzkości poglądu, który w tym wypadku może być dokładniej uzasadniony. Przytem i w takim razie nie odstępujemy w zupełności od tej zasady, która kierowała naszym podziałem socyologii, a która polega na tem, ażeby więcej ogólnie poprzedzała to, co jest więcej szczegółowem, albowiem dzielimy pierwszą część dynamiki społecznej znowu na dwie części, w jednej z nich badamy rozwój życia społecznego w całości, w każdym organizmie, podnosząc się z niższego na coraz wyższy szczebel; w drugiej zaś śledzimy stopniowy rozwój życia społecznego, oglądając je kolejno z różnych stron. (C. d. n.)

\- - - - - -

Lwów, 20 listopada 1898.

Niezmiernie lubię pisać nekrologi. Najpierw, bo mając przed sobą tyle razy w dziennikach i mowach pogrzebowych używany i utarty szablon nie potrzebuję zupełnie wytężać zleniwiałej myśli — potem, bo z pojęciem nekrologu (*vulgo* trupochwału) wiąże się nieodłącznie możność a nawet obowiązek dyskretnego pokrywania wad i błędów, a oświetlania bengalskiem światłem uniesień i zachwytów dodatnich stron moralnej sylwetki zmarłego. „*De mortuis nil nisi bene*“ — a to przecież wielka pociecha i zadowolenie, gdy można o kimś dobrze mówić.

»Po krótkich i cichych cierpieniach zmarł dnia . . . . w miesiącu . . . roku pańskiego . . . Nie należał wprawdzie do tych, co blask swój ciskają w oczy słońcu, ale żywot jego mrówczo pra-

cowity i cichy, jak jego śmierć, był dla kraju, społeczeństwa, młodzieży i t. d., i t. d... Pokój jego popiołom i t. d...«

Przy śmierci jego nie bito we dzwony, nie grała Harmonia, ani nie było łez. Nieutulona w żalu, ale godząca się z losem rodzina odziedziczyła po zmarłym spory dług drukarniany i setki nieużytych zeszytów, jedynych świadków jego pobytu na padole płaczu, — lekarze, którzy daremnie starali się wykrzesać z jego bladego serca choćby iskierkę jeszcze życia, szepnęli bezradnie: ogólna anemia, kilka mniej lub więcej dobrych jego znajomych przyjęło jego zgon z tragiczną pociechą: dokonał najmądrzejszego czynu w życiu, — a reszta, ci wszyscy, te dziesiątki i setki, których chciał krwią swoją żywić, a pragnął nawzajem tylko serdecznego ciepła — milczeli, bo nie wiedzieli, że istniał...

I pamięć o nim już się powoli zatarła, może nawet ciekawy badacz nie znajdzie najpobieżniejszej wzmianki o jego krótkotrwałem istnieniu w statystycznych wykazach śmiertelności w prowincyi czasopiśmiennictwa polskiego — tylko mały obelisk wzgardzonych świadków jego działalności tuła się gdzieś po kątach, a na nim widnieje »prosty i skromny« napis: »Czasopismo akademickie«.

Dlaczego upadło? Nie była to śmierć wspaniałego dębu, który przewrócony huraganem, leży samotnie, z korzeniami, jak wyrzut rozpaczliwy, sterczącemi ku niebu — nie była to śmierć umajonego zielenią urwiska nadbrzeżnego, które długi czas walczyło i stawiało czoło prądowi huczącego strumienia, aż wpadło weń wodą podmyte i rozpłynęło się w jego prądzie; nie było tam walki, nie było rwania pętów, szamotań, ani nawet protestu; ha, lekarze uznali: anemia — a znajomi: dobrze zrobił... Dlaczego?

Mimowoli ciśnie mi się pod pióro jedno z nieśmiertelnych porównań rejowskich. Kiedy ogrodnik ujrzy, że młode drzewko z całą starannością przez niego zaszczepione, usycha i marnieje, winę tego przypisuje w pierwszym rzędzie jakości ziemi, ilości ciepła i światła słonecznego, klimatowi i t. d., słowem, największy wpływ na udanie roślin mającym czynnikom, bo będącym środowiskiem otaczającem młodą szczepkę, a wpływającym bezpośrednio na jej wzrost lub zmarnienie. Drugą część porównania raczy sobie czytelnik w swej duszy dośpiewać.

„De mortuis nil nisi bene“ — więc o wadach i słabych stronach czasopisma nie będę teraz po niewczasie mówił; tembardziej, że upadło ono przedewszystkiem, a może pośrednio tylko, dlatego, bo było w obecnych stosunkach lwowskich rzeczą zbyteczną i niepotrzebną, zginęło na anemię, tkwiącą nie w samej jego istocie, ale w środowisku, które nie było zdolne go wydać, ale któremu

zostało narzucone. Jakież to śmieszne i litości godne, podsuwać człowiekowi papier przed oczy, wkładać mu w rękę nawet pióro w atramencie umaczane, by się zbytnio nie utrudził, kiedy on może nie czuje w ogóle potrzeby myślenia.

Czy państwo znacie tego przystojnego pana? Proszę: Pan Xy, akademik (zwykle słuchacz praw) mundant u p. mecenasa Iz, pobierający $7^1/_7$ centa od godziny pracy, członek klubu szermierzy, akademickiego koła cyklistów i czytelni akademickiej (a raczej cichego stowarzyszenia miłośników gry w bilard w łonie czytelni akademickiej), honorowy członek komitetu komisyi zabawowej, etc. etc. Pociecha rodziców — zdaje colloquia i egzamina pilnie i w przepisanym terminie; chluba policyi (tak, moralna ze względu na lojalność przekonań, bo że tam czasem wejdzie w fizyczną dysharmonię z przedstawicielami porządku publicznego po godzinie 12 w nocy, to... Boże! czegoż się nie przebaczy rozigranemu dziecku); przyszła podpora rządu jako c. k. urzędnik państwowy i kolosalny materyał na potulnego męża!

Podoba się państwu akademik Xy? Bardzo przyjemny człowiek, bardzo dystyngowany, zacny i porządny człowiek. Ho, ho! on zaprowadzi daleko! I przez łzy zachwytu widzi już ów młody, porządny człowiek złoty kołnierz, srebrne gwiazdki, pensyę 2000 złr. wraz z dodatkiem drożyźnianym i aktywalnym, a może... może order żelaznej korony III. klasy... Może...

Gromada: ludzie. Typ: młodzieniec-filister. Roślinożerczy, należy do rzędu zwierząt oswojonych, spotyka go się wszędzie.

O! ma i doświadczenie — doświadczenie bezzębnych starców i rozum, do rozpaczy doprowadzający rozum praktyczny, bez inicyatywy, bez zapału, bezmyślny rozum zacofania i wygody. Naturalnie wyznawca teoryi hedonistycznej.

Panie Xy, cóż pan myślisz o patryotyzmie?

»Ja... a naturalnie, naturalnie... tradycya narodowa — Polska — swoboda... naturalnie. Tylko dla Boga, nie róbcie głupstw. Potem... później... kiedyś... Ale czy tu wam niedobrze? czy nie jak u Pana Boga za piecem? A! jeśli chcecie, bym wam palnął jaką silną mówkę okolicznościową, wziął udział w uroczystościowym komitecie lub nawet może w jakim wieczorku listopadowym, owszem owszem... z całą gotowością. Tylko głupstw nie róbcie!«

A o ruchu społecznym?

»Waryaty! łotry! nieroby! świętokradzcy!«

A o nauce?

(Słodkokwaśna mina) »Ha! konieczność, chleb... Zresztą praca

ma także swoje dodatnie strony: zadowolenie spełnionego obowiązku... dalej...

A literatura? Sztuka?

»Hm... kto ma czas — dlaczego nie? Zresztą pamięta pan, jak się na literaturę zapatruje kardynał Boccanera?

Ale pomimo tego akademik Xy jest zagorzałym radykałem! Przysłuchajcie się tylko jego poglądom na etykę, moralność, strój, modę, na ulepszenia konstrukcyi rowerów lub patentowanych maszynek do krawatów! Co za postępowe przekonania, co za zapał młodzieńczy! Jaka nieubłagana walka na śmierć i życie z konwenansami! Ho! ho!.., A przytem jest człowiekiem na wskroś honorowym: miał przecież 7 pojedynków, a wprawdzie 6 z tej liczby nie przyszło do skutku, to cóż — przecież to zawsze...

A jaki ogień — jaka rycerskość młodzieńcza! Pamiętacie państwo coroczne walki z policyą lwowską po komersach? Akademikowi Xy odebrano nawet ostatnim razem legitymacyę i zapłacił 3 złr. za czynną obrazę stróża bezpieczeństwa w służbie! Szedł pierwszy do walki.

No! nie chcę już wspominać o zapale, z jaką broni napaści na swą narodowość ze strony Niemców. Czytaliście państwo ową notatkę w Nrze 274 »Słowa Polskiego«? Akademik Xy dał także 50 hellerów w niklu... Proszę posłuchać:

»Kwotę 12 koron i 12 groszy składają członkowie »Czytelni akad.« i »Bratniej Pomocy słuch. wszechnicy lwowskiej« na rzecz gimnazyum polskiego w Cieszynie, zamiast na »szarfę« dla posła Wolfa!

Czemże wobec tego protest posła Daszyńskiego?

. . . .

Możem użył barw nieco czarnych. Może... Przyznaję, że w duszy przeciętnego akademika lwowskiego są także tony i blaski, które pokrywają owe dysharmonie i cienie. Ale niestety z powodu braku miejsca napiszę o tem długo i szeroko w następującym liście.

§ 58 u. k.

Z życia akademickiego.

»Kilka uwag o naszych zadaniach«.

Od jednego z kolegów otrzymujemy następujące pismo, które zamieszczamy w nadziei, że wywoła ono dyskusyę nad tematem poruszonym.

»Zapanowała wśród nas zupełna apatya. Cisza taka, jakbyśmy już przestali wybiegać myślą po za uniwersytet, jakby reszta społeczeństwa naszego zupełnie przestała nas obchodzić.

Wśród tego zastoju niezłą może byłoby rzeczą pomyśleć trochę nad sobą, podumać nad przeszłością, przypomnieć sobie, jak dawniej młodzież ulegała prądom zewnętrznym i na życie narodowe wpływała, a w jakiem stadyum dziś się znajduje. To jest faktem, faktem, o którym zapomnieliśmy może, że my młodzi mimo różnicy przekonań, mimo tych wszystkich walk, które się wśród nas toczą, stanowimy czynnik społeczny, że już z powodu młodości naszej jesteśmy tym fermentem, który w przeciwstawieniu do starszej generacyi wszędzie daje początek, wszędzie pcha naprzód, ożywia... O tem nie powinniśmy nigdy zapomnieć, bo to jest nasza misya historyczna i już choćby z tego powodu nie powinniśmy zamykać oczu na to co się wokoło nas dzieje.

We wszystkich ruchach, które w wieku XIX. wstrząsały społeczeństwem młodzież jest najczynniejszą... Powstawał naród polski do walki, a młodzież walczyła w pierwszych szeregach. Cały ból, cała rozpacz z powodu upadku narodowego miała się odbić w literaturze, — ona ten ból najgłębiej wchłania w siebie, ona daje początek nowej poezyi polskiej... Rozwój kroczy dalej. Nastaje ideał pracy organicznej, poczynają się pierwsze ruchy społeczne w kraju i znowu młodzież na czele. Nie dawno to jeszcze, kiedy kotłowało na naszym uniwersytecie, kiedy wszystkich nas łączył radykalizm społeczny i chęć pracy nad ludem... Ale i to przeszło. Jedni poszli w lud, aby go oświecić, inni poszli w lud, aby go organizować politycznie i dali początek nowym partyom, a inni nowymi prądami poczęli ożywiać naszą literaturę. A wśród tego te myśli, które nas przedtem ożywiały i ściśle łączyły z resztą społeczeństwa, zatarły się, uleciały — coraz bardziej zapadaliśmy w sferę drobiazgowych sporów i walk o sprawy czysto akademickie, coraz mniej zajmowaliśmy się tem, czem zajmowała się reszta społeczeństwa... I dziś gdzie jesteśmy? Przyzna każdy nieuprzedzony: krzykliwe komersy i wiece, które nigdy nie prowadzą do celu, na których się zagłusza przeciwnika i podsuwa mu najpodlejsze myśli — to jedyny dziś objaw, że żyjemy. Krzywdą by jednak było, gdybyśmy to odnosili do całej młodzieży. I dziś są jednostki, są kółka, które widzą, że młodzież po za walką o byt ma inne jeszcze przeznaczenie. Każde kółko inną widzi drogę i cel inny, ale każde to przy-

najmniej czuje, że teraz pora, by zbierać myśli, rozwijać poglądy, a nie wegetować tylko...

Wobec tego rozłamu przekonań śmieszną i utopijną byłoby rzeczą, gdybyśmy tu chcieli naznaczać drogę całej młodzieży. Nie to jest celem naszych uwag. Chcemy tylko, aby każdy z nas uznał, że my młodzi mamy coś jeszcze po za studyami fachowemi, że mamy jakieś obowiązki wobec społeczeństwa, chyba, że wszystko co mówimy o ideałach naszych jest czczym tylko frazesem. I — nie dość tu rozprawiać o swym patryotyzmie, nie dość spierać się, czyj patryotyzm lepszy, a czyj gorszy! Niechaj każdy z nas to tylko uzna, a wtedy zdołamy się wznieść ponad to ciasne, ograniczone stanowisko, na którem się dziś znajdujemy, wtedy sama z siebie zrodzi się potrzeba dyskusyi nad celami i zadaniami naszemi, zrodzi się tak pożądana dziś wymiana myśli, aby i społeczeństwo poznało, co my myślimy i czujemy i my sami stali się więcej świadomi tego, jak na życie narodowe powinniśmy wpływać.

K.

Czytelnia akademicka.

»Długo żywiona wśród młodzieży naszego Uniwersytetu myśl założenia »Czytelni akademickiej« im. Adama Mickiewicza, nareszcie doczekała się urzeczywistnienia. W dniu 15 listopada b. r. c. k. Namiestnictwo zatwierdziło statuta, a tem samem przyzwoliło na prawne istnienie »Czytelni«. Pełne uznanie za to należy się komitetowi, który postanowił uczynić zadość powszechnie odczuwanej potrzebie założenia towarzystwa ogólno-akademickiego, a inicyatywę swoją w tej mierze podjął za uchwałą zeszłorocznego wiecu mickiewiczowskiego. Pomimo przeszkód stawianych ze strony tych, którym nie po myśli może była ta idea ogólno-akademickiej solidarności, mająca być w przyszłości przez »Czytelnię« reprezentowana, (szkodziła tu także tradycya po dawnej Czytelni pozostawiona) komitet nie ustawał w swoich zabiegach, a starania jego uwieńczył ten skutek, że istniejąca prywatnie już od kilku miesięcy »Czytelnia« otrzymała urzędowe zatwierdzenie. Za to składamy mu niniejszem podziękowanie, uznając, że z zadania swego chlubnie się wywiązał. Statuty nowo zatwierdzonej »Czytelni« oparte na podstawach liberalnych i parlamentarnych nie krępują w niczem przyszłego rozwoju Towarzystwa i z góry zarysowują szerokie horyzonty na polu towarzyskiego życia akademickiego. Mówimy tu o życiu towarzyskiem, gdyż polityką w ścisłem znaczeniu, w myśl statutów »Czytelnia« zajmować się nie może i nie powinna, nauczona zresztą przykładem swej poprzedniczki, która upadła sprzeniewierzywszy się swej idei pod naciskiem czynników natury politycznej. Z chwilą, kiedy 150-ty członek zapisze się do »Czytelni« komitet kończy swą rolę i oddaje w nasze ręce dzieło swych zabiegów i starań. Młodzież akademicka odtąd z roli biernej powinna przejść do czynnej akcyi i otoczyć opieką i życzliwością Towarzystwo, którego

myśl powitała burza oklasków na wiecu i które miało być jedną z cegieł do budowy nieśmiertelnego pomnika, wystawionego w pamięci młodzieży polskiej dla autora »Ody do młodości«.

Członek „Czytelni".

Z «Kółka literackiego«.

Świeżo zawiązane z ramienia »Jagiellonii« towarzystwo akademickie, które nosi nazwę »Kółka literackiego«, i do którego mogą należeć także niečzłonkowie »Jagiellonii«, odbyło dotychczas trzy posiedzenia. Na pierwszem posiedzeniu przystąpiono do wyboru urzędników Towarzystwa. Sekretarzem wybrano kol. Spitzera, skarbnikiem kol. Krzyżanowskiego, delegatami do sekcyi literackiej »Jagiellonii« kol. Gawlikowskiego i Zawiłowskiego. Uchwalono, że każdy z członków ma prawo przewodniczenia na jednem posiedzeniu według porządku alfabetycznego. Na drugiem posiedzeniu, któremu przewodniczył kol. Blumenfeld, członkowie »Kółka« rozebrali między siebie pojedyńcze działy na przeciąg miesiąca. Krytyki teatralne objął kol. Blumenfeld, sztukę kol. Stein, dział muzyczny kol. Zawiłowski, dział społeczny kol. Rogosz. Na wniosek kol. Rogosza uchwalono odbywać ustne dyskusye na jakiś z góry oznaczony ogólny temat. Pierwsza dyskusya ma się odbyć na temat, podany przez kol. Konckiego: »Jaki jest cel Kółka literackiego?« Na trzeciem posiedzeniu kol. Blumenfeld odczytał swoją ocenę premiery teatralnej p. t. »Cień«, kol. Stein złożył sprawozdanie z Wystawy sztuk pięknych, kol. Zawiłowsk z koncertu tow. muzycznego. Na wniosek kol. Steina uchwalono ogłosić konkurs nowelistyczny, którego warunki mają być przedmiotem dyskusyi na najbliższem posiedzeniu.

Ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza urządza wieczorek Czytelnia akademicka wraz z Jagiellonią i Chórem akademickim z początkiem grudnia.

Z komersu.

Kiedym wchodził, uderzył mnie w twarz ogrom światła, barw, woni i dźwięków. Przez chwilę stałem odurzony. Powoli, z poza skłębionej masy błękitnawego dymu tytoniowego, przerzniętego żółtawemi strugami syczących płomieni gazowych, z poza olbrzymich bomb piwa, i mniejszych herbaty z rumem i jeszcze mniejszych rumu samego wyłoniła mi się na prawo grupa młodych, pucołowatych, czerwonych, wesołych twarzy. Ludzie ci przeplatali wytrwałe wchłanianie w siebie niezwykłej ilości alkoholów pełnem zaparcia się wydawaniem z siebie różnych melancholijnych odgłosów. Te odgłosy, w których skład wchodziło i wycie i gwizdanie i szczekanie, zlewały się w jeden ryk ogromny.

— Kolego, kto przewodniczy? — pytam sąsiada.

Wskazał mi na uszy, że nie słyszy.

— Kto przewodniczy? — wrzeszczę mu w małżowinę.

Tamten coś mi odwrzasnął i wskazał ręką. Wspiąłem się na palce i z za fali poruszających się głów

i ramion ludzkich ujrzałem rozpaczliwie wykrzywioną twarz człowieka, w której niepomiernie rozszerzony otwór ustny i gwałtownie poruszający się organ mówienia wskazywały, że ich właściciel mówi. Po chwili nowa fala głów i ramion zakryła mi przewodniczącego i jego stolik. Oglądnąłem się za krzesłem.

Usiadłszy zacząłem oryentować się w sytuacyi. Spostrzegłem, że przewodniczący znikają jeden za drugim jak meteory. Przez jakiś czas każdy z nich walczył jak bohater; nad ogólnym rykiem tego małego komersowego społeczeństwa górował przez chwilę świeży, dyszkantowy, a coraz to odmienny ryk jednostki. Potem chrypli, opadali z sił i ustępowali. Po kol. T. przeszedł jak burza kol. W., po nim wśród olbrzymich oklasków kol. F., ale i ten przekonał się, że od Kapitolu do skały tarpejskiej jest tylko jeden krok, i szepcąc *vanitas vanitatum*, usunął się kol. M.

Lecz kol. M. okazał się niezłomnym i już odtąd dzierżył buławę prezydyalną do samego końca.

Mój sąsiad z prawej zapewniał mnie, że zgromadzenie było zwołane, ażeby »obmawiać« (zapewne chciał powiedzieć »omawiać«) kandydatów na prezesa do Bratniej pomocy. W ogóle jednak było rzeczą widoczną, że zgromadzenie uważało specyalizowanie się w młodym wieku za rzecz szkodliwą i sądziło, iż młodym ludziom potrzebna jest wszechstronność. Nie zatrzymywano się zatem dłużej nad jednym tylko przedmiotem, ale przeskakiwano z jednej gałęzi na drugą. Przez chwilę zastanawiano się nad tem, czy język jednego z kolegów jest »dwusieczny«, czy nie; potem poddano szczegółowej dyskusyi, czy drugi kolega jest lwem, czy tylko »lwią częścią«; potem, po kłótni dwóch członków zgromadzenia, dochodzono, czy to kol. W. »zaczął« czy kol. S.; potem wymyślali sobie nawzajem kandydaci z góry przepraszając przeciwnika za to, co mu mają powiedzieć. Wreszcie do tych zapasów dyskusyjnych zaczęto posługiwać się zwrotami z obcych języków: jeden z kolegów oświadczył, że stanowisko prezesa nie jest wcale *„reizend“* i dla objaśnienia dodał »jak to Niemcy mówią«, drugi zadeklamował ze wzruszeniem: *c'est le ton, qui fait la chanson.*

Była zgoda i była wesołość wśród tego straszliwego zgiełku młodych wrzeszczących głosów, brzęku szklanek i talerzy, w dusznej, gryzącej atmosferze, przesyconej kłębami dymu i wyziewów. Aż dopiero kiedy trzeba było zastanowić się nad kwestyą rzeczywiście poważną, kiedy kol. K. wniósł, aby posłom, którzy ujęli się w parlamencie za narodowością polską, »bez względu na odcienie i przekonania« wyrazić uznanie, kiedy już nie wypadało błaznować, a nie chciało się myśleć, nad zgromadzeniem powiał duch nudów i apatyi i bractwo, któremu śpieszyło się do komersu *„extra muros“*, nie powziąwszy żadnej uchwały, wysypało się na ulicę. *r.*

Redaktor odpowiedzialny: **Stanisław Meus.** — Z Drukarni Narodowej w Krakowie.

I ROK — ZESZYT I

Cena zeszytu

Z Drukarni Narodowej w Krakowie.